

Artur Sandauer

Dzieje kłótniwej przyjaźni (I)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (22), 169-179

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Artur Sandauer

Dzieje kłótlivej przyjaźni (I) *

Poznałem Witolda Gombrowicza przez Brunona Schulza, tego zaś — przez przypadek. W 1936 r. otrzymałem — wraz z dwoma rówieśnikami, parającymi się, jak i ja, piórem — zaproszenie od pewnej lwowskiej instytucji, by urządzić wieczór autorski. Byliśmy jednak całkowicie nieznani i trzeba było kogoś, kto by nas wprowadził. Wybór padł na Schulza — nie, jakobyśmy znali jego twórczość, lecz dlatego, że bilet kolejowy do Drohobycza, gdzie mieszkał, kosztował stosunkowo niewiele. Wybrałem się więc do niego, by go zaprosić.

Ulica Floriańska była typowym przybytkiem żydowskiej biedoty: mury powleczone sinką, taplające się w rynsztokach dzieci, na przyzbach kobiety w perukach. Przez zarosłe chwastami podwórze wchodziło się na pokoje zajmowane przez starszą siostrę, jej syna i kuzynkę. Sam pisarz przebywał w izbie najdalszej. Aksamitny, wypłowiwały, mysi, biegał truchcikiem wzdłuż ścian, to otrzepując z kurzu jakąś książkę, to zmierzając się laską jak do strzału. Mimo tych groźnych gestów, w których znać było wojowniczego ducha, człowiek był jak najżyczliwszy. Bez wahania zgodził się na wyjazd do Lwowa i na udział w naszym wieczorze.

Dopiero później, wstyd powiedzieć, zapoznałem się ze *Sklepmi cy-*

* Jest to wybór zamieszczonych we francuskiej serii „L'Herne” listów Witolda Gombrowicza do mnie. W wydaniu francuskim drukuję je pod tytułem *Fragments*; nie jest to bowiem wydanie pełne, lecz jedynie — jak to zwykle bywa z korespondencją osób niedawno zmarłych — obszernie urywki. Miejsca opuszczone zaznaczam znakiem (...), numerację kolejnych listów podaję cyframi rzymskimi.

namonowymi. Książka wywarła na mnie wrażenie wstrząsające; lekturę jej odchorowałem. Nastąpiła wymiana listów, której owocem była przyjaźń. Schulz okazał się nadmiernie pobłażliwy wobec moich krytycznych pierwocin; ślady jego zawstydzająco pochlebnych ocen zachowały się w korespondencji. Któryś z moich tekstów przesłał Gombrowiczowi; stąd nowa korespondencja i nowa przyjaźń.

Spotkałem się z Gombrowiczem zimą 1937 r. w Zakopanem; znajdowałem się wówczas pod wrażeniem niedawno wydanej *Ferdydurke*. Później widywaliśmy się często w Warszawie, dokąd zjechałem jesienią 1938 r. w gorączkowym okresie monachijskim. Przysiadaliśmy do jego stolika w „Zodiaku” i odprowadzałem go nocą do domu. Zachowałem w pamięci parę szczegółów dotyczących powstania *Ferdydurke*, które mi ujawnił podczas tych spacerów. Tytuł zapożyczył z jakiejś powieści Wellsa; imię bohatera, Ferdy Durke, wymawiane po polsku, stało się dlań manifestem pur-nonsensu. Końcowe zdanie utworu jest dziełem służącej Marysi. Kiedy weszła rano ze śniadaniem i usłyszała, że Witold skończył książkę (Gombrowicz pisał w łóżku), rzekła: „Koniec i bomba, a kto czytał ten trąba!”; pogaduszka ludowa, którą wcielił bez wahania do tekstu. Szczegóły te naświetlają — większą niż u innych pisarzy — rolę, jaką Gombrowicz w procesie twórczym przypisywał przypadkowi.

W tym miejscu stosunki nasze urwały się na wiele lat. Z Warszawy powróciłem do Krakowa, później zaś do rodzinnego Sambora, gdzie mnie zastała wojenna zawierucha. Cudem z niej ocalałem; zginął w niej natomiast, zamordowany przez oficera Gestapo na ulicach Drobocza, Bruno Schulz. Gombrowicz w sierpniu 1939 r. wyjechał do Argentyny i straciłem jakikolwiek z nim kontakt. Wszystko zdawało się skłaniać do rezygnacji z młodzieńczych upodobań. Ale jestem człowiekiem upartym, który nie wyrzeka się ich tak łatwo. Świadomość, że najwybitniejsze — w moim przekonaniu — utwory literatury międzywojennej nie mogą się ukazać, towarzyszyła mi trwale w latach pięćdziesiątych i jeżeli coś uchroniło mnie przed „włączeniem się w nurt”, jeżeli wolałem z własnej i nieprzymuszonej woli znaleźć się „na śmietniku historii”, to przyczyną — poza racjami teoretycznymi — było właśnie to.

Z powyższego wynika, że imiona Schulza i Gombrowicza były dla mnie nierozdzielne; nierozdzielne miało się też dokonać wskrzeszenie ich dorobku. W 1956 r. Henryk Vogler, ówczesny dyrektor Wydawnictwa Literackiego, zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie wstępu do dzieł Schulza, które zamierzał wydać. Wstęp napisałem i opublikowałem w „Przeglądzie Kulturalnym”; numer przesłałem Gombrowiczowi do Argentyny. W odpowiedzi otrzymałem list następujący:

Drogi Panie Arturze,

piszę krótko, bo nie jestem pewny, czy zdołałem właściwie odcyfrować nabazgraną przez Pana ulicę «Iwicką». Podziękowanie i hołd za

rzeczywiście wnikliwie a także o rozległym i głębokim widzeniu studium o biednym Brunonie, z którym, jak Pan wie, łączyła mnie przyjaźń. Część ogólna, wstępna, tych rozważań, niezmiernie istotna. Dużo by o tym gadać — tj. o Pańskiej przedmowie, o nim samym i o jego dziełach.

Bardzo cieszę się, że Pan dał znak życia, bo chciałem pisać do Pana w związku z moimi sprawami. Pewnie Pan słyszał, że jeśli dobrze pójdzie, powinny ukazać się w Polsce, w roku przyszłym następujące moje utwory: «Ferdydurke», «Iwona» (komedia, drukowana w «Skamandrze»), «Trans-Atlantyk» (powieść), «Ślub» (dramat) oraz tom nowel. Myślę, iż hurtowne pojawienie się tylu potężnych arcydzieł powinno być nie lada wstrząsem dla duszy narodowej i pytanie, kto ma być generalnym akuszerem tego porodu. Otóż ja, mając na uwadze, że Pan jest dziś czołowym krytykiem, chciałbym wysondować Pańskie opinie na temat mojej twórczości i w razie gdyby nadal były przychylnie, zgłosiłbym się z pokorną prośbą o zaopiekowanie się tym moim ponownym urodzeniem w ojczyźnie, iżby to wszystko nie zostało strywalizowane i dziennikarzone w prasie.

Wielkim poważaniem wypełniła mnie (nie tylko mnie) Pańska postawa w ostatnich latach i mniemam, że mogę Panu się powierzyć. W zasadzie uważam, że moje książki powinny ukazać się bez przedmów — przekonałem się, że to dla nich zdrowiej — ale chodzi mi o prasę i w ogóle o krytykę. Nie znam polskich stosunków, więc tylko podaję Panu te myśli do rozważenia.

Jeśli wpadł panu w ręce mój «Dziennik», który od kilku lat drukuję w «Kulturze», to mniej więcej wie Pan, jak żyję i co porabiam (nb. ten dziennik jest ważnym źródłem informacji dla krytyka). Proszę napisać o sobie. Piszę nową powieść. Kłaniam się, serdecznie pozdrawiam i cieszę się, że się odnaleźliśmy, Pański

Witold Gombrowicz

7 IX 56.

Venezuela 615 dep. 5

Buenos Aires

III list dotyczy propozycji, jaką zrobiłem Gombrowiczowi, by nawiązał stosunki z prasą krajową, zwłaszcza zaś z czasopiśmem, które zamierzałem wówczas wydawać. Propozycja odpowiadała pisarzowi, którego stosunki z prasą emigracyjną nie układały się najlepiej:

Drogi Panie Arturze,
już myślałem, że mój list nie doszedł, gdyż pokiełbaszono mi adres Pana, tymczasem widzę, że wszystko w porządku. Bardzo dziękuję za miłe słowa, także ucieszony jestem perspektywą Pańskiego studium o mnie. Mam nadzieję, że zdołam zaopatrzyć Pana w «Trans-Atlantyk» (uwaga: nie Transatlantyk jak Pan pisze) (...) «Dziennik» to ważny komentarz do moich dzieł i osoby i bardzo pragnąłbym, aby Pan nim dysponował — jakoś się zrobi. O nowej książce niewiele mogę powiedzieć, choć już na ukończeniu — ale Pan wie, że moje rzeczy nie dają się opowiedzieć «własnymi słowami». Jeślibym gdzieś drukował jakiś fragment, to Panu przyślę.

Myślę, że nasza współpraca sama przez się zacieśni się... teraz idzie tylko o nawiązanie kontaktu. Podzielim Pańską myśl, że istnieje teraz pewna koniunktura na pewne treści duchowe, którą należałoby wyzyskać. Co się tyczy współpracy w tym nowym piśmie, to trudno byłoby mi coś pewnego powiedzieć na razie, gdyż rozmaite imponderabilia mogą zadziałać — moja sytuacja jest dość nieustalona. Gdyby udało się wydać w Kraju mój dziennik, byłby to niezły wyczyn, bo z reakcji ludzkich widzę, że to lektura nader formująca i sędzę, że mogłaby tam być pożyteczna — ale wiele ustępów w tym tekście pisanych jest, że się tak wyrażę pod włos, więc obawiam się, iż jeszcze tak prędko nie da się... choć ja mam siebie za osobę dość zbliżoną pod pewnymi względami do hegelianizmu i marksizmu.

(...) W ostatnich dziennikach pisałem o Was — z rozmysłem dość surowo — gdyby Pan mógł to przejrzeć, byłbym ciekawy Pańskiej opinii tudzież ewentualnych sugestii, bo na dystans wiele głupstwa można powiedzieć. Bóg z Panem, drogi Panie Arturze, szkoda doprawdy, że nie możemy sobie pogadać.

Witold Gombrowicz

25 IX 56.

Venezuela 615 dep. 5

VI. List dotyczy mojej recepcji «Trans-Atlantyku», w którym po pierwszej lekturze dojrzałem — nieco pochopnie — tylko „satyrę”; dotyczy również propozycji, jaką uczyniłem pisarzowi, by wszedł w bliższy kontakt z prasą krajową.

Drogi Panie Arturze,
zaczynam poważnie niepokoić się, żeby Panu na «Trans-Atlantyku» nie pośliznęła się noga, powodując najhaniebniejszy upadek w całej

Pana działalności krytycznej i wzywam do opamiętania się póki czas! Coś szwankuje w Pańskim podejściu do tego utworu. Pisze Pan, że to walka ze szlagoństwem, że Ojciec to szlagon. Na Boga żywego! Więc mniema Pan, że ja jedną linijkę poświęciłbym dzisiaj szlagoństwu czy czemuś takiemu — ja skąpany po uszy w problemach uniwersalnych, ja nowoczesny, awangardowy, fundamentalny?

Na kolanach błagam, aby Pan nie zwięzał w ten sposób utworu wyrażinowanego i przepaścistego, okrutnego i wyzwającego. Ale jeśli nawet Pan tak to wyczuwa, to jestem zgubiony — bo okazuje się, że wasza uspołeczniona mentalność domaga się ode mnie *s a t y r y s p o ł e c z n e j* i tylko satyry — i podoba się wam «T. A.» póki jest satyrą, ale potem, gdy właśnie osiąga lot wyższy i bardziej kosmiczny, wy kręcicie nosem, ponieważ nie wiecie: jaka to satyra? Jakim względem społecznym i pedagogicznym służy?

Rzeczy moje, panie Arturze, jak każda rzecz ludzka, mają tę właściwość, że mogą być ujęte na rozmaitych piętach — ja na wszelki wypadek doradzałbym Panu, żeby wsiadł do windy i pojechał na najwyższe piętro — i zaręczam, że stamtąd wcale ciekawy zobaczy Pan pejzaż. Sztuka moja, szczęśliwa lub nieszczęśliwa w swoich osiągnięciach, zawsze operuje na maksymalnej wysokości i tego właśnie domagam się od Pana, tego żądam, żeby w Polsce tym ptakom zanadto nie przycięto skrzydeł. To Pańskie zadanie! I przestrzegam, że jeśli Pan mu nie sprostą, to wieki przyszłe gotowe ukuć przysłowie: *wpadł jak Sandauer na «Trans-Atlantyku»*. I co znaczy to, że obróbka słowna w pierwszej części inna niż w drugiej, gdy to jedno i to samo? Nie, nie coś tu Panu nawala. Ale jeśli Panu nawala, cóż będzie z innymi?

Owszem, ciesz się przymiotnik «nasz», którym Pan mnie łaskawie zaopatrzył — to mnie nie hańbi. Od tych kilku słów (w liście), w których Pan zamknął tragiczne koleje swojej wojennej egzystencji, bynajmniej nic mi się nie skonkretyzowało. Ja też tylko taki schematik mogę przestać: żyłem tu 8 lat *psim* swędem i nic nie robiąc, a potem, gdy już się nie dało, pracowałem jako sekretarz dyrekcji Banco Polacco przez 7 lat. I potem, dwa lata temu, wyskoczyłem z banku i odtąd pławię się w szczęściu bezkresnych wakacji — jak dotąd jako tako finansowo daję sobie radę drukując w krajach o mocnej walucie (bo tu życie tanie). Na szczęście nie ożeniłem się. Życzę

powodzenia z tą «Rzeczą» — ale czy nie za dużo u was pism literackich? Pokłon. Pozdrowienie.

WG.

21 I 57.

XI. Jest to reakcja na mój pierwszy artykuł z cyklu *Bez taryfy ulgowej*, dotyczący twórczości Adolfa Rudnickiego, który wywołał istną burzę w prasie krajowej.

Drogi Panie Arturze,
dopiero teraz nadeszła niecierpliwie oczekiwana przeze mnie «Kultura» z Pana szarżą na biednego Adolfa. Przeszkadza mi w merytorycznej ocenie, iż nic z jego powojennych rzeczy nie czytałem oprócz «Kartek». Ale przyznać muszę, iż czytając «Kartki» przed pół rokiem odnalazłem w nich wiele z tego, co teraz u Pana czytam — i że mnie również to zaleciało jakąś szminką, czymś primadonnowatym. Przymuszczałem jednak, iż w innych jego, mniej felietonowatych, utworach ujawnia się w tym względzie jakiś mechanizm autokontroli, czy kompensacji, gdyż ostatecznie nie ma prawie pisarza, który by nie cierpiał na te czy im podobne kompleksy — pytanie tylko, jak je rozwiązuje. Ale z Pańskiego wyводу sądząc, tamte utwory nie lepsze, a gorsze.

Nie wiem jak dla Pana osoby — ale dla osobowości ten esej jak najbardziej na pewno okaże się pożyteczny. Widać tu pasję, temperament, szwung, jaja, słowem, to coś, od czego zupełnie odzwyczaiła się krytyka Wasza, tudzież istotne przejęcie się wartościami literatury — to jest chyba pierwsza krytyka «prawdziwa», tj. z ducha swojego zachodnia, tj. docierająca, jaka urodziła się w Polsce powojennej. I napisane z talentem. To jest powrót do istotnej walki na terenie sztuki. Nie wiem, czy z rozpędu nie zanadto Pan na niego wjechał, ale domyśla się Pan, że *spiritus movens* tego ataku jak najbardziej trafia mi do przekonania. Wpadł mi też w ręce artykuł B. Czeszki «Nasz za granicą»¹, z czego widzę, jaki jest gatunek ich z Panem polemiki: jest to małostkowe, zażenowane, oportunistyczne — jest to ściśle ta sama polemika, z jaką i ja spotykam się i nie ma co obawiać się jej na dłuższy dystans, choć bezpośrednio może coś skomplikować.

¹ Chodzi o artykuł tego pisarza, zamieszczony w „Przeglądzie Kulturalnym” (1958 nr 29). Czeszko określa tam moje studium m. in. jako „donos do społeczeństwa” (?) i suponuje, że do jego napisania skłoniła mnie „zazdrość o męską urodę Adolfa Rudnickiego”.

Gide powiedział, coś w tym rodzaju, iż nic w literaturze nie jest bardziej zaskakujące niż szczerłość, bardziej «zbijające z tropu» i ja całkowicie z nim się zgadzam. Natomiast powtarzam, iż w Pańskim nieco przymusowym położeniu zaprawiłbym ją sporą dozą chytryści, a także cierpliwości. To kwestia taktyki. A poza tym rozdzieliłbym sprawy artystyczne i polityczne.

Jestem w tej chwili tak zawieszony w próżni, iż nie mam do dyspozycji pisma nawet po to, aby dać po nosie Januszowi Kowalewskiemu, który straszliwą napaść wypuścił na dziennik, hańbiąc mnie i babrząc. To jednak jakoś w przyszłości powinno uładzić się i musimy też znaleźć jakąś formę współpracy, wspólnego działania, co wynika z tego po prostu, iż wzajemnie siebie potrzebujemy i jednego Ducha jesteśmy wykładnikiem. Ale mogę tego dokonać tylko na moim terenie, tj. nie przechodząc w dziedzinę obce, jak publicystyka, jak lokalna problematyka polska, etc., a także mając na uwadze moją sytuację emigranta.

Nie rozumiem, gdzie się zapodziały książki Pana, które mi Pan przesłał. Czy nie można by jeszcze raz spóbować? Kłaniam się, drogi Panie Arturze, niech Pan pisze co z Panem i jak, bardzo mnie to rozciekawia, uszanowanie.

W. Gombrowicz

21 VIII 57.

XV. Jest to reakcja na książki, które przesłałem Gombrowiczowi — zwłaszcza na *Moje odchylenia*.

Drogi Panie Arturze,
właśnie jestem w trakcie lektury utworów Pana. Nasuwa mi się na myśl co już poprzednio medytowałem inne czytając rzeczy z Polski: że nieuniknione limitacje tego myślenia i jego polityczna «pobożność» kompensują się jednak możliwością nowego spojrzenia na Zachód i rewizji wielu uświęconych pojęć. Otóż u Pana kombinacja stuprocentowa zachodniej umystowości — zachodnio-arystokratycznej — z tymi rewizjonistycznymi punktami wyjściowymi proletariacko-marksistowskimi daje ciekawy zespół, co nawet w formie się objawia (bo Pana wyrafinowania podawane są często z głupia frant, jakby rozumiały się same przez się). Często i gęsto porównywałem Pana z zachodnimi krytykami. Z konieczności musiał Pan wiele czasu stracić na walkę o truizmy i wywalanie drzwi..., a jednak to specjalne

Pana umieszczenie, ta odrębna sytuacja doprowadziła do wielu ciekawych wyników i właśnie dlatego, że Pan Zachodu nie zdradził, że to dzieje się tam tylko, gdzie Pan musi ustąpić — że w zasadzie Pan polemizuje z marksizmem i ulega nie tyle teorii, ile własnemu przeżyciu historii, to daje Panu pewną specyficzną dojrzałość i dyscyplinę, a także stanowczość, upór, autentyczność. Słowem, to czyta się nieco inaczej niż zachodnią krytykę. Niestusznie Pan obawia się, że «Moje odchylenia» straciły na aktualności — to interesuje żywo i dzisiaj, jeśli nie zawsze główną tematyką, to szeregiem pobocznych tematów i *trouvailles*. Poza tym b. dobrze napisane. I poza tym nie bez wzruszonej sympatii to czytałem, myśląc, że Duch jest jak Wańka-Wstańka i nie sposób go przydusić. Precyzja, ścisłość, jasność Pańskiego wykładu, a także rozległy horyzont jak najbardziej mi odpowiadają — natomiast obawiam się nieco, że Pańska skłonność do abstrakcji i teorii może przyprawić Pana o pewną suchość, gdy sztuka jest tak cielesna, związana z osobą, tak zmysłowa i «osobowa». Pańska rzecz o treści i formie¹ zawiera sporo chyba całkiem nowych sformułowań, ale wszelka teoria sztuki jest dla mnie czymś podejrzanym. Przyznaję jednak, że nie jeden *passus* tej książki wysoce wzbogacający i pobudzający. Ale wolałbym, żeby Pan sprzymierzył się ze mną w pewnej «nonszalancji» wobec sztuki, w podejściu do niej sceptycznym i nieufnym, kiedy Pana widzę rozbudowującego jej teorię czy analizującego poetów chciałbym krzyknąć: «nie tędy droga!». Szkoda wielka, że nie możemy obgadać tych i innych spraw. List nie zastąpi rozmowy. Ja zresztą tutaj dość mętnie wystawiłem się. Jesteśmy ludźmi, którzy się rozumieją i nie z przypadku, ale dlatego, że tkwią w nas te same pasje i konieczności — doprawdy, jest Pan człowiekiem znakomicie nadającym się do swoich celów, o wyraźnym zadaniu i doskonałym mechanizmie, zdziwiłbym się więc, gdyby Panu się nie udało przewyciężyć wszystkich oporów i wpływ Pana na pewno się zwiększy ogromnie w najbliższych latach, po prostu dlatego, że to «leży w naturze» (najlepszy sprawdzian). To, że kilka razy Pan o mnie zatracił w latach ubiegłych i tak kategorycznie, oceniam naturalnie z pełnym zrozumieniem sytuacji i z należytą wdzięcznością.

Przechodząc do bieżących kłopotów... Coś w państwie duńskim znowu nawala, wnosząc z rozmaitych trudności. Zdaje się, że nie zdecy-

¹ Chodzi o moją książkę *O jedności treści i formy* (Wydawnictwo Literackie 1956).

dują się wydać mojego «Dziennika», co b. mnie martwi, bo to książka konsolidująca moją pozycję. Co gorzej «Ślub» też został odwołany przez Teatr Narodowy. Jeśli idzie o «Ślub», to myślę, iż można by wyrzucić pewien nacisk w prasie, żeby go wystawiono, to nie jest utwór zahaczający o politykę, a, odłożywszy moją skromność, nie widzę rzeczywiście dzieła teatralnego polskiego współczesnego, które by miało większe prawo do sceny. Teraz ma się ukazać w książce razem z «Trans-Atlantykiem», więc chwila sposobna, aby pobudzić ludzi do pisania o nim i narobić, jeśli się da, szumu... ach, Boże, dla czegoż to wszystko nie może się normalnie i swobodnie dokonać, tylko musi być tak za włosy ciągnane? Nie to mam na myśli, aby Pan pisał, a to, aby Pan kogo pobudził do tej funkcji — jeśli w ogóle ten utwór znajdzie admiratorów (ale chyba tak, choć może powoli). No, kłaniam się nisko, Panie Arturze, i teraz bardziej oddany Panu niż poprzednio, gdyż bardziej w Pana wtajemniczony.

W. Gombrowicz

5 XII 57.

XVI. Dwa listy następne dają wyraz reakcji pisarza na kolejne artykuły z cyklu *Bez taryfy ulgowej*.

Drogi Panie Arturze,

list Pana z 25 XI dopiero dzisiaj otrzymuję, bo ten cymbał, syn mojej gospodyni, pokiełbał mi z listami (jestem w Tandilu). Myślę, że Pan jest już w posiadaniu mego pisma z początku grudnia, w którym nieco mętnie zreferowałem wrażenia z lektur, którymi Pan mnie obdarzył. Reasumując, mniemam, że Pan jest jedyną w kraju siłą krytyczną i że Pan jest na poziomie autentycznej literatury, tj. z tej samej sfery duchowej, tj. że nie potrzebuje Pan uprawiać krytyki «z dołu», ale jest Pan w literaturze, choćby najwyższej, u siebie w domu, czyli na swoim miejscu. Pański pech, że to tak gorące w Panu powołanie skłócone nieco z Historią — ale pytanie czy to nie obróci się na Pańską korzyść. Mocno cieszyłbym się, gdyby mój «Dziennik» skierował Pańską uwagę na konieczność rewizji stosunku do sztuk pięknych w tym duchu, w jakim ja to dość po dyletancku i po łebkach uprawiam — mam wrażenie, że w tym kryją się duże możliwości. Zdanie Pana o «Dzienniku» wielką sprawiło mi satysfakcję, a w szczególności to o podróży po rzece — ja też to uważam za niezły kawatek. Doszły mnie słuchy, że zrobiliście z Natansonem dwugłos o mnie w radio, za co oby Najwyższy was wynagrodził. Czy Pan nie

mógłby mi kiedy przy sposobności przestać tych tekstów — tj. także poprzedniej audycji — jeśli Pan ma maszynopisy. Tak się składa, że wszystko co Pan ma — ulatnia się w eterze (radio przestało mi nagranie tamtej audycji, ale tu ustosunkowano się do tego politycznie, więc przerażony, musiałem zrezygnować z odbioru).

«Iwona», jak wnoszę z prasy, jako tako funkcjonuje¹. Otrzymałem pismo, że chcą wystawić «Ślub» w teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Tad. Kwiatkowski mi pisze, że to «druga scena polska». Czy to prawda? Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby Pan mi doradził, bo na punkcie teatrów jestem jak tabaka w rogu, a chciałbym, żeby «Ślub» poszedł w teatrze naprawdę dobrym. Reżyserować ma Bron. Dąbrowski z pomocą Błońskiego i Kwiatkowskiego. Pilne — bo muszę się decydować.

Kogo Pan rozrobił jako Nr 2²? Ja teraz mam słaby kontakt ze światem polskim, siedząc na prowincji. Andrzejewski zawsze mnie denerwował, czemu dałem wyraz w dzienniku, te dramaty sumienia wydawały mi się mocno «robione» — ale ostatnich jego rzeczy nie znam. Czytałem przypadkowo kawałek Torquemady, trochę pod Dostojewskiego, a nawet bardzo. No, trzeba kończyć, bo muszę iść do «centrum», a burza się zbliża po dniu upalnym. Gdyby Pan mógł napisać nie zwlekając o «Iwonie», o tym teatrze Słowackiego i o wszystkim, bardzo cieszyłbym się — mocno się nudzę, kłaniam się nisko i pozdrawiam.

W. Gombrowicz

11 I 58.

XVII.

Drogi Panie Arturze,

ależ Pan ich niszczy¹. Podziwiam. Pan wie z mojego dziennika (całość), że ta operacja stuprocentowo w moim duchu i myślę, że to może Panu zapewnić nazwisko w naszej literaturze na długie czasy. Zarysowuje się Pan jako historyczno-polska konieczność. Wiem z własnego doświadczenia, że taka śmiałość sporo nerwów kosztuje, ale to

¹ Mowa o wystawionej w 1957—1958 r. przez Teatr Dramatyczny w Warszawie sztuce *Iwona księżniczka Burgunda*.

² Chodzi o dalsze artykuły z cyklu *Bez taryfy ulgowej*.

¹ Chodzi o zamieszczony w „Życiu Literackim” artykuł *Szkoła nierzeczywistości i jej uczeń*, poświęcony twórczości Jerzego Andrzejewskiego.

od razu wyrzuca człowieka w górę i potem już w spokoju pobiera się dywidendy.

Niech Pan nie zapomni napisać, kto był Nr 2 w tej serii morderstw. Dąbrowska? Myślę, że byłoby ważne ją zrewidować, bo to typowo «oficjalna» figura. W ogóle proszę informować, jakie są reakcje — to coraz więcej mnie interesuje.

Pewne zastrzeżenia: czy nie niszczy ich Pan zbyt globalnie — to za- nadto wygląda na atak — byłoby lepiej wycieniować trochę plusy i minusy każdego z nich. A druga rzecz: niektóre chwytły wydają się nieco dowolne, tak np. z a k ł a d a Pan, że A. wprowadził takie, nie inne zmiany w «Wielkim Tygodniu» i za to Pan go atakuje. A może jednak było inaczej? Nie są to wielkie usterki, wspominam o nich dla- tego, że chyba to daje broń do ręki przeciwnikom.

Esej ma ciekawą i frapującą konstrukcję. Co do «Ferdydurke» — wszystko słuszne, co Pan pisze, z tym jednym zastrzeżeniem, że ja pisząc miałem na myśli bardziej problematykę uniwersalną. (...)

Winszuję! Przez taką rewizję ten kraj musi przejść koniecznie i to na wszystkich polach. Wiele pozdrowień śle.

W. Gombrowicz

7 II 58.